

REGULAMIN KONKURSU NA OPRACOWANIE PROJEKTU KONCEPCYJNEGO ELEMENTÓW TOWARZYSZĄCYCH ŚCIEŻCE SPACEROWEJ UPAMIĘTNIAJĄCEJ RYSZARDA KAPUŚCIŃSKIEGO.

ZAŁĄCZNIK NR 2

TEKST

SPACER PORANNY

Autor: Ryszard Kapuściński, Gazeta Wyborcza, 25.01.2007

Źródło: <http://miasta.gazeta.pl/warszawa/1,34862,3874392.html>

Zwykle szedł Prokuratorską, Wawelską i dalej na Pole Mokotowskie. Mijali Go przechodnie, którzy tak jak On dość wcześnie wstawali. Niemal każdego dnia rano, jeśli był w Warszawie, Ryszard Kapuściński spacerował w okolicy swojego domu. Oto Jego opis takiego spaceru, pochodzący z archiwum domowego pisarza. Jest maj, początek lat 90. ...

Rano budzę się, wypijam kawę i idę na spacer. Jest siódma. Idę ulicą, przy której mieszkam – Prokuratorską, do Wawelskiej. Mijam konsulat brytyjski: o tej porze przed furtką stoi już tłum ludzi. Nocują tu, śpią w samochodach, na trawnikach, na ławkach – czekają, żeby złożyć wniosek o wizę. Od razu wiem, że jestem w Trzecim Świecie. Takich porannych zbiegowisk nie ma ani w Oslo, ani w Bernie, są natomiast w Kampali i w Kuala Lumpur.

Mieszkańcy krajów biedniejszych – ot, chociażby Polski – oferują swoje tanie ręce do pracy, kraje zamożne bronią się, mają chętnych w nadmiarze. Głodni, ale jeszcze nie tak głodni, żeby nie móc ruszać się (jak moi biedacy z Sahelu), szturmują Zachód, gdzie ciągle jeszcze, jeśli tylko uda się znaleźć pracę, można dobrze zarobić (sąsiad mojej mamy, starszy już wiekiem murarz, pan Kucharski, zapytany, jakie miałyby marzenia w życiu, odpowiedział bez namysłu: – Wie pani, żeby tak jeszcze choć raz dobrze zarobić!).

Tęsknota za dobrym zarobkiem nie jest prostą chęcią napchania sobie kieszeni. To przecież potrzeba sprawdzenia się, publicznego dowodu, ile jestem wart, jak wysokie zajmuję miejsce w hierarchii społecznej. Pytanie o zarobek jest przede wszystkim pytaniem o to, jak mnie widzą i cenią, jak jestem postrzegany i kwalifikowany.

Tuż za konsulem jest skrzyżowanie Wawelskiej i alei Niepodległości, miejsce, w którym zbiegają się granice trzech dzielnic – Mokotowa, Ochoty i Śródmieścia. Przed sobą, naprzeciw gmachu Głównego Urzędu Statystycznego, mam budynek, w którym mieszkał przed wojną autor "Ludzi podziemnych", wielki mason, senator Andrzej Strug. To w jego mieszkaniu Witkacy poznał Czestawę Oknińską, ostatnią miłość swojego życia. Był to rok 1929. W dziesięć lat później, we wrześniu 1939, wyruszyli oboje na Polesie. Tam w lesie, koło wsi Jeziory, popełnili samobójstwo (z którego jednak Oknińską odratowano).

Przecinam ulicę Wawelską i wchodzę na Pole Mokotowskie. Widzę z daleka gmach Biblioteki Narodowej – w wiecznej budowie. Zwraca uwagę, że nim zaczęto budowę Biblioteki, postawiono najpierw cały zespół budynków i solidnych baraków dla biurokracji przedsiębiorstwa budowlanego, jakby z góry zakładając, że ten w końcu niewielki obiekt biblioteczny będzie wznoszony latami, całymi pokoleniami. I to się w istocie sprawdza! Budynki administracji od rana pełne urzędników, a obok w miejscu budowy, na zmurszałych już rusztowaniach, jakiś jeden robotnik, drugi w zrujnowanym młynku miesi garść betonu.

Teraz (jest koniec maja) wchodzę w zieleń Pola Mokotowskiego. Tu, na rogu Wawelskiej i alei

Niepodległości, postawiono w 1945 roku osiedle drewnianych, małych, jednorodzinnych domków fińskich. Tuż po wojnie przydzielono nam taki domek, ponieważ mój ojciec pracował wówczas w Spółecznym Przedsiębiorstwie Budowlanym. Ten ciasny domek bez łazienki, bez centralnego ogrzewania był luksusem, był szczęściem, gdyż dotąd gnieździliśmy się (rodzina czteroosobowa) w maleńkiej kuchni, w ruinach, na terenie magazynów cementu i cegły przy ulicy Srebrnej, w pobliżu bocznicy kolejowej zwanej Syberią (stąd wywożono kiedyś ludzi na Sybir).

Domek nasz (adres: III-cia kolonia, 6-ty domek) przylegał do piaszczystego nasypu, z którego dzieci w zimie zjeżdżały na sankach. Na tym nasypie w 1935 roku stała laweta z trumną Piłsudskiego. Stąd Marszałek przyjmował swoją ostatnią defiladę, nim kondukt żałobny wyruszył do Krakowa, na Wawel.

Idę ścieżką wśród traw, rano osrebrzonych błyszczącą rosą, między wysokimi topolami. Pamiętam, jak sadzono te topole tuż po wojnie, wiotkie, kruche krzewy, które wyrosły teraz na tęgie strzeliste drzewa. A oto nagle kępa jabłoni, grusz i śliwek, właśnie kwitną, rozsiewają słodkie mocne zapachy. Sad, tu w parku publicznym? Tak, bo są to drzewa, które wokół swojego domku posadził pan Stelmach, tramwajarz, a jak się okazało, również przedni ogrodnik i sadownik. Pan Stelmach już nie żyje, ale jego drzewa stoją, a jabłka, gruszki, śliwki będą latem zrywać miejscowe dzieci, a także przygodni pijaczkowie, którzy zbierają się tu, aby w łagodnym cieniu wypić butelkę cienkusza.

Niestety, moja ścieżka prowadzi również w pobliżu bardzo smutnego miejsca. Dzisiaj jest to ładna polana, a wtedy, po wojnie, były tu gliniane bruzdy i wetknięte w te bruzdy cztery deszczutki owiązane kawałkiem drutu. Oznaczało to, że w ziemi jest mina. I pamiętam, że idę do szkoły, zaspany i zmarznięty, i widzę dziecko, chłopczyka, który siedzi między tymi deszczułkami i nim zdążyłem ocknąć się i cokolwiek pomyśleć, zobaczyłem nagle błysk ognia, usłyszałem suchy, ostry huk i zobaczyłem, jak ten chłopczyk pochylił się, skulił i znieruchomiał.

Natychmiast podniósł się krzyk i zaczęła się biegania, wypadli ludzie z okolicznych domków, ale kiedy dobiegliśmy do eksplozji, dziecko siedziało martwe, w kałużach krwi. To musiało być tutaj, koło tej topoli. Ale gdzie dokładnie? Wszędzie trawa i trawa, w każdym miejscu jednakowo bujna.

Wchodzę na główną uliczkę naszego osiedla. Nazywa się Leszowa. Nie ma tu ani asfaltu, ani nawet bruku. Jest czarna posypana miałem węglowym, kiedy pada deszcz, stoją na niej brudne, smoliste kałuże. W jednym miejscu na środku ulicy leży czarny kundel. Zawsze leży i zawsze w tym samym miejscu. Kiedy przechodzę, kundel szczeka. Nie ruszając się. Jest to szczekanie pasywne, szczekanie na odczepnego, zdawałoby się, że ten pies nie jest żywym, czującym stworzeniem, tylko jakąś nakręconą zabawką do szczekania. Jest to tak, jakbym idąc, nacisnął nagle jakiś ukryty w jezdni guzik i wyzwolił mechanizm drętowego, przygnębiającego szczekania.

Po obu stronach ulicy Leszowej ciągną się działki. Kiedyś stały tu wszędzie domki, ale w połowie lat siedemdziesiątych domki ludziom zabrano i sprzedano za grosze prominentom reżymu Gierka. Teraz można je oglądać tam, gdzie wczasuje stara nomenklatura. Natomiast dawnym mieszkańcom zostawiono ich ogródki, ich działki. Wszystkie te działki są bardzo ubogie.

Płoty byle jak sklecone, a to z gałęzi, a to z wszelakiego drutu, a to z przerdzewiałej siatki. Budki w ogródkach stojące także nic nie lepsze. Każdy klecił je z czego miał. Miał deski - z desek, miał blachę - z blachy, a są ściany po prostu z dykty lub z płyty spilónionej, czy nawet z papy. Ci, którzy mieli farbę, pędzel i tzw. zmysł estetyczny, owe po amatorsku sklecone prowizorki troskliwie pomalowali. Są więc budki żółte i seledynowe, niebieskie i rude, a najwięcej zielonych.

Najczęściej zresztą - i to jest im wspólne - te niegdyś świeże i żywe faktury są dziś złuszczone, odrapane, płowiejące. Prawdziwą jednak poezją brzydoty i ubóstwa, ale zarazem zaskakującej fantazji i plastycznego happeningu są prowadzące do tych ogródków furtki. Jest ich tu kilkadziesiąt, a każda inna, różna i niezwykła w swych pokraccznych formach i deseniach.

Z ulicy Leszowej skręcam w lewo i dochodzę do szarego, brudnego baraku o małych, ciemnych jakby

więziennych okienkach. Barak jest częścią zajezdni wozów asenizacyjnych. Dużo tych wozów stoi zawsze beczynnych – albo nie ma załóg, albo części zapasowych, albo pieniędzy na paliwo. Biblioteka Narodowa i zakład oczyszczania miasta są to dwa główne, sąsiadujące ze sobą obiekty na Polu Mokotowskim.

Ponurą obozową ścianę baraku zastępują latem wysokie i gęste łopiany. Zielsko to, choć gruboskóre i mało szlachetne, jest jednak przyjemniejsze dla oka niż ciemny i zbryzgany błotem i smarami mur warsztatów zajezdni. Ledwie ów mur się kończy, a zaczyna się stary śmietnik. Stary, ponieważ jest tu od lat, usypany przy ogrodzeniu zakładu oczyszczania miasta, w miejscu, obok którego przejeżdżają nieustannie wozy asenizacyjne. Dla mnie jest to miejsce pobudzające do ciągłych rozważań nad tajemnicą rozumu ludzkiego. Nad pewną jego ułomnością, a mianowicie brakiem związku między widzeniem a działaniem. Bo widzą, codziennie widzą, a jednak mając kolumnę wozów przeznaczonych do sprzątnięcia – nie sprzątaj. Dlaczego? Co w tym jest? Jaki sekret? Jaka zagadka? Co im stoi na przeszkodzie? Co uniemożliwia? Szalenie to intrygujące.

Zresztą przy wejściu na ulicę Leszową też leży kupa śmieci. Zawartość obu tych stosów, już ugniecionych przez deszcz i czas, jest podobna. Szmaty, w tym granatowa i czerwona (poszwa do poduszki), resztki damskiego płaszcza, zgniłe buty, butelki po wódce, po winie, po piwie, zardzewiałe puszkę po konserwach, zardzewiały zamek, zardzewiała sprężyna, strzępy papieru, blachy, plastyku, połamany stół, dziurawe wiadro, stłuczona umywalka, a może sedes. Licho wie czego tam jeszcze nie ma, każdy śmietnik jest jak chora, wynaturzona i zwyrodniała wyobraźnia bez granic i końca. Wychodzę na piaszczysty i zakurzony szlak. Niedługo była to odnoga ulicy Wawelskiej i dalej pewnie jest, ale dziś gruntownie rozryta: na dnie głębokiego wykopu kładą potężny rurociąg. Kładą – dużo powiedziane! W rzeczywistości bowiem trudno uchwycić jakiś wymierny postęp. Owszem, już z daleka dostrzegam kilku robotników i koparkę. Nie mogę powiedzieć, że nic się nie dzieje. Cały czas dzieje się, cały czas odbywa się jakieś chodzenie, jakieś nachylenie, jakieś przyglądanie. Bywa też, że tyżka koparki wczepi się głęboko w ziemię, że ktoś zawoła – Władek, cho-no!, że ktoś inny zacznie walić młotem w oporny podkład. I co dalej? Nic dalej, dalej jak wczoraj i przedwczoraj. Przechodząc tędy, mijam jakiś świat nieczuły na wszystkie burze polityczne, wszystkie wstrząsy i przetomy, obojętny na wartości chrześcijańskie i dylematy europejskie. Tu ciągle gra stara muzyka. Tu ciągle trwa taniec w zwolnionym tempie, tańczony w kółko, pod swojską melodię, na znany sposób, ostrożnie, żeby nie wzniecić kurzu, nie uronić potu.

Teraz można pójść w lewo, w stronę alei Niepodległości, albo w prawo – do Żwirki i Wigury. Idąc w prawo, okrążam najpierw pusty i zaśmiecony dół betonowy: był tu kiedyś sztuczny staw, może nawet fontanna. W każdym razie pamiętam wodę, jej dużą potyskującą w słońcu taflę, ludzi przesiadujących tu na ławkach, dzieci biegające skrajem sadzawki. Dalej zaczynają się łąki i drzewa – najpiękniejsza część parku. Są tu kasztany, orzechy i brzozy, są jesiony i modrzewie. Kiedy świeci słońce, jest tu jasno. I jest cicho, właściwie nie słychać samochodów. Miasto odsunęło się i znikło, zwolniło swój uścisk, pozwala od siebie odpocząć.

Ryszard Kapuściński